

Maria Rutkowska

Miasteczko św. Franca i kuscielskiej Syreny

Francavilla al mare w sierpniu. Wśród czarownych miasteczek Abruzzi to chyba jest najczarowniejsze Francavilla.

Adriatyk miękka falą całuje złoty piasek plaży. Niebo jest bez chmur, morze jest bez fal i leży w słońcu ciche, raz niebieskie raz zielone.

Za piaskiem — wesołe wzgórce, porosłe oliwkami. Po zboczu pnie się miasteczko. Małymi oknami swoich kamieniczek patrzy z góry na rozebrany tłum, spacerujący u jego podnóża w uliczkach między oleandrami.

Tłum na dole wchodzi się bez troski nad brzegiem uśmiechniętego morza. Tłum w kostiumach i pyjmach. Niemal sami Włosi. A jeżeli cudzoziemiec — to egzotycki. Chili, Japonia. Turystów z typu pospolitego, prawie niema. Czasem tylko jakiś Anglik, który zboczył z utartych szlaków Viareggio i Rimini. Oddycha się bez Niemców.

Na placu nad morzem, gromada okrągłych, czarnookich dzieci ci zażywa swobody. Dzieci całe chmary.

Pod wieczór gra muzyka. Godzina za godziną mijają w słońcu i beztrosce — tu na dole. Tam, na górze życie wygląda inaczej.

ZA GRUBYM MURAMI

Domy cisną się koło domów i wyrastają w ścianie wzgórza jedne nad drugimi. Od szerokich schodów, wiodących do kościoła św. Franca, wąziutkimi uliczkami idzie się w głąb starego miasteczka.

Stare jest bardzo... Stare są jego domy. A gdzie nie gdzie wśród kamieniczek sterczą skrawki murów. Nad spadzistym zakrętem stoi samotna baszta.

Pamiętki, zamierzekłej przeszłości.

Przeszłość miasteczka okrywa ją mroki. Wielbiciele Francavilli przez miłość dla dzisiejszej piękności nadmorskiej miejsciny szperają w starych kartach historii.

Pierwsze siedziby zbudowali tu podobno Fenicjanie. Miasteczko, położone w żyznej okolicy rozkwitło bujnie. Grube mury i baszty warowne chroniły je od najazdów korsarzy, grasujących wzdłuż brzegów.

Przyszła jednak czas, że nie pomogły grube mury. Najazd turecki zniszczył w XV w. miasteczko. Ze spalonych domów upro-

wadzano wszystkie kobiety do haremów sułtańskich, mężczyzn zamieniono w niewolników.

Ale wśród pięknych branek z Francavilli była jedna, imieniem Catena, tak wielkiej urody, że moc jej wdzięków skruszyła serce sułtana. Jej izy przyniosły wyzwolenie.



Zaulek „Rycerski“

zwolenie innym. Statek sułtański odwiózł do zielonych brzegów Abruzzi wszystkie branki i wszystkich niewolników.

Opuszczone miasteczko odżyło. **PUSTKOWIE PRAŻONE SŁONCEM**

Wśród ludu całej okolicy żyją do dziś legendy. Wątek ich snuje się od brzegów samego morza do zielonych wzgórz, kryje w sobie tajemnicę narodzin Francavilli.

Tajemnica jest niebyłajaka. Bo piękność tego wybrzeża, bo żyzność jego ziem nie narodziła się sama z siebie. Trzeba było na to czyjeś ofiary, czyjeś zasługi i nagrody.

Przed tym było pustkowię. Piaski suche i gołe skały. Ani jednej zielonej rośliny, ani jednego kwiatu. Ptaki, zwierzęta i ludzie omiotali to miejsce, prażone żarem słonecznym i straszliwe w swej wyschłej obnażonej biedocie.

Żył tylko jeden człowiek na pustkowiu. Franco pustelnik, a oprócz niego w szczelinach skał żyły węże.

Pustelnik dnie całe spędzał na modlitwie, klęcząc na piasku, który parzył mu ciało. Promienie słońca paliły obnażoną głowę.

Noce spędzał w jamie wśród

węzów. Węże opłatały go całego, pełzały po nim, a potem, szły jak wierni sługi, jego śladami aż do wyjścia, gdzie świeciło słońce.

NOCE POKUSY

Mijały dni bez rachuby czasu. Mijały pory roku. Aż nadeszło lato inne od wszystkich, które przeszły. Przyniosło ze sobą noce, srebrne od księżycy, pełne nieznannej niespokojnej tęsknoty.

W taką noc z samych wód morza wypłynęła syrena — kuscielka. I śpiewem i śmiechem, kuszącymi słowami gonila uciekającego przed jej złą wizją.

Gdy noc po nocy przed oczyma pustelnika wynurzała się z wód kusząca zjawia, gdy noc po nocy, w ciemnej kryjówce węzów słyssał jej namiętne zaklęcia, jej kuszące obietnice miłości strach nim oświadczył i męka stała się nie do zniesienia.

PURPUROWA ŁÓDŻ

Wówczas to, u schyłku jednej z najstraszliwszych nocy, gdy piekło wewnętrzne spalało serce i mózg gorzała udręka niż piekielne upały gorących dni, o świcie na cichych wodach zjawiała się purpurowa łódź, z żaglem rozpiętym jak wielkie skrzydła czerwonego ptaka.

Bóg posłał pomoc swoją pustelnikowi. Niosła ją św. Liberata w asyście grających na trąbach aniołów.

Ziemia, na którą stąpiła Wyśłanniczka Boga, rozkwitała pod jej stopami. Rozkwitały wzgórza. Brzeg zamienił się w krainę bujnej zieleni.

I w tym oto mieście, ludzie, zbiegli na wezwanie Franca, założyli pierwsze osiedle, nazywając je Francavilla.

Na wzgórzu w miasteczku, wśród innych kościołków, dwa są najważniejsze: św. Franca i św. Liberaty.

Dokoła Francavilli wioski bogate w zieleni ogrodów oliwnych, sadów brzoskwiniowych i winnic co roku oddają wierny hołd swemu patronowi.

Na dole, w otoczeniu hoteli pełen muzyki i wesołych tłumów leży pałacyk Syreny. Jak gdyby wdzięczna pamięć należała się także morskiej kuscielce... bez której nie byłoby zasług Franca pustelnika.

GABRIEL D'ANNUNZIO

Takie legendy, pełne poezji u- słyszy każdy, kto ciekawo znaj-

dzie sobie pierwszego z brzegu rozmówcę w pierwszej z brzegu trattorii. Nad szklanką wina, przy stole zasłanym lupinami „lupini“ i bobu pogawędka o historii Francavilli idzie gładko.

Dowiedzieć się przy tym można, że sława Francavilli wiąże się nie tylko z legendami. Dumą miasteczka jest także niedawna przeszłość — fakt, że mieszkali tu: sławny malarz Michetti i jego przyjaciel Gabriel d'Annunzio.

D'Annunzio spędzał młodzież w Peccarze, oddalonej o 8 km. Przez letenie miesiące bywał we Francavilli. Jeśli był samotny, gościł go w swym poklasztorzym mieszkaniu Michetti, jeśli była przy nim któraś z ówczesnych jego „wielkich miłości“, mieszkiał z nią razem w willi nad morzem.

Tu, we Francavilli, powstał szereg jego najlepszych dzieł młodzień- cich.

DWIE FRANCAVILLE

Bogata w przeszłość i legendy Francavilla „na górze“ ma dziś życie tak bardzo odmienne od wesołego życia bliskiej, a przecież obcej Francavilli z placu Syreny.

Życie na górze oglądać można jak na dłoni. Przez otwarte drzwi zajrzeć łatwo do ciemnych wnętrza. Niskie izdebki, wygięte sklepienia, schodki, skaczące z poziomu na poziom w tym samym mieszkaniu. Ubogie wnętrza. Ubodzy mieszkańcy. Sklep przy sklepie. Warsztat przy warsztacie.

— Z czego żyjecie? — pytam szewca, który na progu ceruje stare buty.

— Ja robię buty. Mój sąsiad jest kowal. Dalej pracuję „sarto“ — krawiec. Jedni robią dla drugich i tak wkołko.

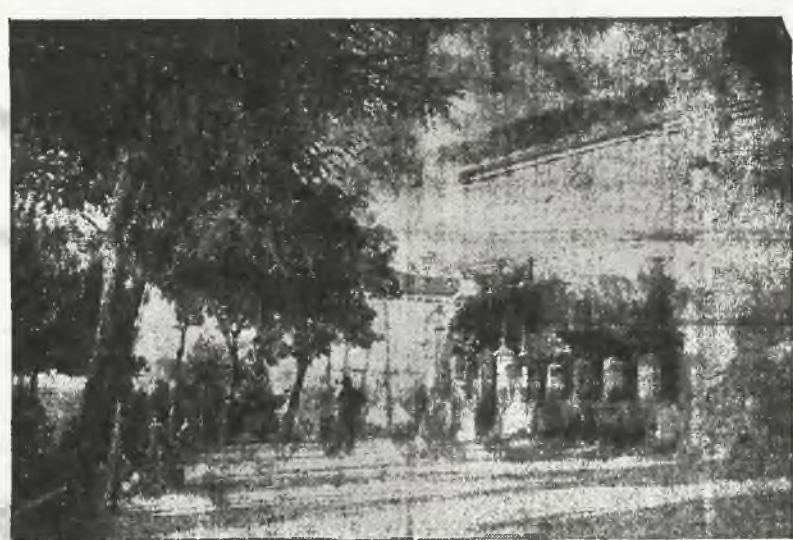
— Czym się żywiecie? — Grochem i cebulą.

Nad okienkami wąskich kamieniczek suszą się jasne pęki fasoli, czerwienieją sznury cebuli. Nawet „pizze“, nawet kukurydzowy chleb ustępuje pod względem ilości spożycia miejsca fasoli. Zresztą w 10-tysięcznym miasteczku poza dwoma „Forno“ nie ma chyba na górze więcej piekarni.

— Chleb jest drogi, signora, bardzo drogi — mówi straganiarka, ważąc mi pachnące brzoskwinie.

KOLONIA ALBAŃCZYKÓW

Tuż za koszarami straganiarki idzie w górę ciemna uliczka —



Przed klasztorem św. Franca

vece dei Cavallieri. Taki sobie za- ątek „Rycerski“, węższy od na- szego na Starym Mieście.

Na kamieniach ulicy Rycerzy tak, jak wszędzie dookoła, bawią się tłumy dzieci. Kędzierzawe główki, buzie blade, ciemne oczy. Bawią się kamykami. W brudnych rączkach trzymają całe garście złocistych lupin. Żółte łuski owoców zaśmiewają wszystkie uliczki.

W tym roku Francavilla prócz swoich bledych dzieci i strojnych dzieci z plaży, gościła kolonię chudych Albańczyków.

Na zboczu wzgórza pod masz- tem z trójkolorową chorągwią co wieczór dziecinny chór śpiewał Giovinezze.

Przez druciany parkan na „wie- czorny apel“ małych Albańczy- ków spoglądali dorosli wraz z dziećmi Francavilli.

Giovinezza albańskich dzieci po tej stronie Adriatyku i co krok twarz Mussoliniego na murach do- mów przypominają muszę, że na- wet w cichym, poezją starych le- gend otoczonym miasteczku dzie- dzisiejszy nosić musi stygmat fa- szyzmu.

Z książek

Chyr góralskiej gadki

Jest w Polsce spory zastęp ludzi, żyjących górami. Nie koniecznie muszą to być podhalańce urodzone, z dziada pradziada, bawowskie syny i ju- haskie. Czasem właśnie się zdarza, że takiego sobie, ot warszawskiego ce- pra cości opęta. Taki — byle miał dwa, trzy dni wolne — łapie w garść deski albo czeka i leci w Zakopane. A kiedy go na to nie stać, łazi po Krakowskim Przedmieściu i wypatruje od Tatr halniaka a na wystawach księgarń — książek o górach.

Dla tych przede wszystkim — bak- cylem podhalańskim zarażonych ce- prów — został zebrany i wydany drukiem zbiór góralskich gadek Tadeusza Malickiego „Ludzie z gór“ (**) Dla nich — ale nie tylko dla nich. Urok gór pociąga wszystkich, którzy choćby raz się z nimi zetknęli, oczywiście nie tak urzędowo — z okien pociągu popularnego. Wśród skał i turni czło- wiek czuje się bliższy Boga i bliższy ziemi.

Piękny bowiem jest górski świat. Te cechy otoczenia — piękno i gro- za — znalazły swoje odbicie w lu- dział, mieszających od Sącza po

(*) Tadeusz Malicki „Ludzie z gór“, wyd. Geb. i Arcta, rok 1939.

Zbig. Mokrzycki

Mieczysław Żydler

Widzenie Michała Ceynowy

Morze gładkie i ciche... Na zachodzie ciemnoszarę, jaśniejsze stopniowo ku wschodowi, gdzie mieni się perłowym połyskiem, jak roztopiony ołów. Słychać oddalający się stuk wiosła w luźnych drewnianych dulkach, z dwu kółków poprostu sporządzonych.

To rybacy popłynęli zarzucić wędę na pomuchle. Są to długie na kilkadziesiąt metrów liny, z których zwisa się około sto sznurków z haczykiem i przynętą każdy. Wędy takie, oznaczone pływakami, rzuca się w odległości około dziesięciu kilometrów od brzegu na dno morza, między wielkie omszałe gazy, wśród których — w poszukiwaniu żeru — lubią myszkować pomuchle, czyli dorsze.

Stuk wiosła cichnie stopniowo, wreszcie roztopia się w ospałym pomruku drobnych fal, od niechcianej głośzących piasek przybrzeżny. W powietrzu unosi się mgła i smutek, jak zawsze nad morzem podczas ciszy i pochmurnego nieba. Unosi się również posmak jakiejś nieżyłkości czy tajemniczości. Ale to może wpływ nie tyle przyrody, ile słów starego Michała, który o duchach pra- wi...

— Pan je doch mu o- iesz som dz jis wi- d z e c! — powiada.

Spoglądam bacznie w wyblakłe

od starości, jasnoniebieskie oczy, zażawione i okolone zaczerwienionymi powiekami, czy nie ma w nich częstego gościa — iskierek filuterniej przekory... Ale nie, są teraz poważne, poważna jest również, niemal skupiona, brunatna twarz Ceynowy, porośnięta rzadkim, dawno niegolonym, stwiejącym dopiero zarostem, po- żółkłym w sąsiedztwie nieco zapadniętych ust. Pod nosem czerni mu się plama nie do zmycia, ni wytarcia, zdradzająca upodobanie do tabaki.

Stary Michał, zwany „H u z a r a“ — w pruskich huzarach śmierci bowiem odbywał swoją powinność wojskową — na morze wypływa już coraz rzadziej, bo — jak powiada — serce mu w piersi ustaje. Rusza się powoli, rozważnie i w przeciwnieństwie do innych rybaków nigdy nie podnosi głosu. Instynktownie oszczędza tego serca, zmęczonego pracow- tym, bogatym w radości i smutki, osiemdziesięcioletnim życiem.

Mówi zawsze z rozważa, jakby zastanawiając się nie tylko nad treścią, ale i nad formą tego, co ma rzec. Spokój mądrzej starości jest w tym skłonnym do zadumy, na wskroś prawym człowieku, ojcu, iadku i pradiadku licznej rodziny.

Opróżnia teraz z hałasem nos, z którego nozdrzy — niby z roz-

dartej kanapy — sterczą kępki łowego włosia, po czym widząc moje niedowierzanie dodaje jakby dla wytłómaczenia tego, co powiedział przed chwilą:

— W j i t r o b e n d z e d z e f Z a d e s z n y!...

— Więc w wigilię Zaduszek, w dzień Wszystkich Świętych, można zobaczyć ducha?

Stary potwierdza z powagą.

— Wiecezerm! — mówi.

On sam widział ducha dwa ra- zy. Raz pierwszy szedł brzegiem, a d o k a (czyli mgła) była tak jak dzisiaj, tylko jeszcze gęstsza. Szedł i rozmyślał o swojej nie- boszce — żonie, której zmarło się przed rokiem. Ogromna żalność go brała, bo niejaki mu było bez tej, która od najmłodszych lat jego lat męskich towarzyszyła mu w złej i dobrej doli, w niedostatku, w pracy ciężkiej nad wyraz... Aż tu nagle zobaczył ją samą, jak ukazała się z mgły i szła prosto ku niemu.

Poznał ją od razu, bo parę ty- godni przed śmiercią co jej zro- biło się w lewą nogę, że nieco u- tykała, a duch także kułał na le- wą nogę. Ale Michał młodszy był wtedy i głupszy. Mróz poczuł w piersi, więc krzyknął... Widmo rozważało się we mgłę i już więcej się nie pokazało...

— Nie zmyślacie to, panie Mi- chale?... Widzieliście nieboszczkę na własne oczy?

Stary spogląda na mnie z ura- ą.

— Tak, jak j o p a n a t e r o z w i d z e! — odpowiada stanow- czo.

I wydobywszy z kieszeni taba- kierkę, kunsztownie rzeźbioną w rogu, wprawny prztykami wy- trząsa z niej duży niuch ciemno- zielonej, prawie czarnej tabaki na wglębienie w zylastej dłoni, po- krytej łuszną, pofałdowaną, jakby pergaminową skórą.

Zbliża dłoń z tabaką do nosa, ale zatrzymuje się jeszcze i zwraca twarz do mnie.

— Pan m u o z e s z n i e w i e r z y c, a l e t o j e p r o w d a! — powiada uroczyście.

I sprawnie wciągnęta tabaka znika mu naprzód w jednym, po- tym w drugim wlechatym nozdrzu

— A drugi raz jak to było? — pytam po chwili.

Drugi raz Ceynowa zobaczył ducha stosunkowo niedawno, przed czterema, albo pięcioma la- ty zaledwie. Zastawiał właśnie w morzu żak na węgorze. Woda była już bardzo zimna, a podarty kubrak mało co od wiatru chro- nił, to też stary zębami dzwonił i dygotał na całym ciełe.

Wtem z ciemności wyłoniła się postać ludzka i szła po morzu, tak jakby po ziemi, presto na niego, Michała... Straszno mu się zrobi- ło, bo poznał w widmie niebosz- czyka — sąsiada, od którego d e k k o w przed laty na budowę do- mu pożyczył. Ze zaś do tej pory nie oddał pieniędzy rodzinie zmar- lego, więc od razu zmiarkował, że może być z nim źle.

Ale chociaż z strachu upuścił w wodę drewniany młot, do ubija- nia pali przy żaku potrzebny, to jednak powiedział głosem moc- nym i wyraźnym:

— B j o p r e z, A n t o n k, j o w s z e t k o u o d d o m!

Zjawia wsiąkała w ciemności... A Michał do domu trzęsący się po- wrócił i jeszcze tegoż roku cały dług wdowie i dzieciom wypłacił.

Od tej pory duchów więcej nie widywał, bo prawdę rzekłszy, nad morze w wilię Zaduszek wiecz- rem nie chadzał...

— Pewno zbyt straszno? — py- tam.

Zażawione oczy starego ze spo- kojem wytrzymują moje spojrze- nie.

— M u o z e s t r a s z n o, a m u o z e d z j i w n o, — odpowiada po chwili namysłu. — Spróbuj, panie som, a t e u d z z r z y z z!

Podnosi się z trudem z wydmy, na której przysiedliśmy.

— Dokąd to?

— Do sąsiada z k o z l e m i s c — mówi.

„Kozel“ — to duży kawał drzewa, najczęściej korzeń, wygięty fantastycznie na kształt bu- merańga z niegrabnie rzeźbioną główką, wyobrażającą łeb kozła. W napół rozwartą paszczę tego potwora sołtys miejscowy wkłada pismo, z którego treści ma zapo- znać ludność wioski i oddaje „koz- la“ najbliższemu sąsiadowi.

„Kozel“, przekazywany z rąk do rąk, obiega wszystkie chaty i wraca z powrotem do sołtysa. Jest szklście gładki, wypolerowany szorstkimi od pracy dłońmi lic- nych pokoleń, dłońmi pracowity- mi, bądź leniwymi, gwałtownymi i skłonnymi do bitki, bądź ospały- mi od dawna spoczywającymi już

w grobach...

Stary żegna się ze mną i odcho- dzi, ale po chwili wraca. Bruzdy i zmarszczki jego nieruchomej twa- rzy układają się w wyraz życzli- wości. Wyblakłe oczy patrzą na mnie jasno.

— Pan se ne darwosz z tego żar- tować, co j o g o d o! — odywa się i obiema dłońmi potrząsa mi rękę. — To je wszystko prawda.

Patrzę w ślad za Ceynową, któ- ry oddala się powoli, nieco zgarbio- ny pod ciężarem wieku.

Nie obawiaj się, panie Michale, abym miał żartować z tego, co mi w zaufaniu powiedziałeś...

Cóż wiarę o życiu my, któ- rych wykształcenie i miejskie po- chodzenie oddziela rzekomo w hierarchii społecznej od was, ży- jących z pracy rąk?... Cóż wiedzą o istocie życia ludzie i od was, i od nas stokróć mędrsi, myśliciele, uczeni... Błagają się jeno w mgli- stym przecuciu prawdy.

Ludzkość jest wszakże niemow- łącem w kołysce, nie wie prawie nic o wielkim, starym domostwie, które oddane jej została w czaso- we władanie, i nie rozumie zna- czenia tego podarunku... I wiele wody jeszcze upłynie, zanim poj- mie cel swojego na ziemi istnie- nia...

Toteż nie wydaje mi się smiesz- ne, coś mi powiedział. Michale Ceynowa... Kto wie, może sam pójdę wieczorem w wilię Zadu- szek na pusty brzeg morski, aby z aksamitnego, szarego mroku lub z węgłonej mgły wywołać duchy najbliższych, najdroższych mi e- s o b, które odeszły na zawsze...